

Małgorzata Opoczyńska-Morasiewicz, Magdalena Wojciechowska

FRAGMENTY ŻAŁOBNE. O UTRACIE MATKI Z PERSPEKTYWY EGZYSTENCJALNEJ

FRAGMENTS OF MOURNING. ABOUT THE LOSS OF A MOTHER FROM AN EXISTENTIAL PERSPECTIVE

Instytut Psychologii UJ, Zakład Psychologii Zdrowia

**existential exploration
of first-hand experience
loss of a mother
mourning**

Artykuł Małgorzaty Opoczyńskiej-Morasiewicz i Magdaleny Wojciechowskiej odnosi się do egzystencjalnego doświadczenia utraty matki przez Tadeusza Różewicza i Rolanda Barthesa, które zostało utrwalone i zapisane przez każdego z nich. Autorki opisują doznanie tęsknoty, nieobecności i obecności zmarłej matki, które jest doświadczane poprzez codzienny kontakt ze światem przywołującym wspomnienia, czy też ożywia doświadczenie obcowania z osobą zmarłą. Przedstawione w pracy egzystencjalne spojrzenie na żałobę ujmuje ją jako na wpisane w życie doświadczenie braku, ale też doświadczenie kontaktu z osobą zmarłą.

Summary

The death of a mother (as an event of the order of the outside world) is at the forefront of these considerations. As guides we take those who after their lost loved ones left the traces in the form of a journal, poems, or texts. The loss they suffered was demanding an action – recognized by us as a process of grievance. Starting from the Freudian definition of mourning, we are guided somehow outside of it. We are wondering what we are writing when we use the word mourning and if it is our right to define its traits? The complaint itself (as a response to the experienced lack) is written in four acts: her silence (the mourner is alone and in vain to listen to the beloved voice), speaking without her (pointing to the silence of the orphaned, recognized by us as: uttering the lack, complaint, union with these who no longer exists, or no desire to speak); talking to oneself (recognising by the writer his or her own emotional states and processes, knowing what is going on, which as such becomes a painful lesson, a source of intimate but not wanted knowledge). The last is an attempt to answer why writing experience has become important. The field of our reflections is what is unique (eine Ausnahme). Their method – exploration of the existence (existentielle Aufklärung), that we are.

z rzeczy tego świata zostaną tylko oczy matki
zostaną oczy matki od której
wszystko się zaczyna
nawet śmierć

[1, s. 429]

1. Drogi rozpoznania, czyli rzecz o metodzie

Prawda jest nieskończenie bogatsza od naukowej trafności

[2, s. 67]

Zacznijmy od kilku uwag rozjaśniających słowa tytułu. „Fragmenty” zapowiadają formę, która — wedle Friedricha Schlegla — nigdy nie dochodzi skończoności [3]¹; jest niekompletna, rzecz można — ułomna i jako taka domaga się dopełnienia. Słowo „żałobne” wskazuje na co najmniej dwa światy; jeden: świat procesu żalenia się, skarżenia, ubolewania [5, s. 601], drugi: Barthesowskiego (choć nie tylko) dziennika, spisywanego po śmierci matki (odwoływać się będziemy też do dziennika gliwickiego, pisanego przez Tadeusza Różewicza w czasie umierania, śmierci i po śmierci matki, a także do „książki o matce” — „historii o rzeczach i jeszcze o gadaniu” napisanej przez Marcina Wiechę po jej śmierci). „Utrata matki” upamiętnia tę, która odchodzi i tego, kto żali się na jej odejście. „Perspektywa” to tyle, co patrzeć na coś poprzez coś innego (łac. *per-spicere*, czyli przebijanie czegoś wzrokiem); w tym wypadku — gdy mowa o perspektywie egzystencjalnej — patrzeć na egzystencję poprzez inną egzystencję, przemijającą w czasie, po którym zostają fragmenty.

Metodą naszego badania jest rozjaśnianie egzystencji [2]. Stosując ją, idziemy tropem wyznaczonym przez Karla Jaspersa, upominającego się o namysł, także klinicystów i psychoterapeutów, nad wyjątkiem, którym jesteśmy [6]. „Być wyjątkiem — pisał — to wyłamywać się ze wszystkich rodzajów powszechności” [2, s. 113]; nie w tym sensie, że nas nie dotyczą (i nie dotyczą), lecz w tym, że na ich tle możliwe staje się uświadamianie sobie nieprzekładalności jednostkowego istnienia na język stwierdzający o tym, co powszechne. Wyjątkowość naszych istnień wymyka się nauce będącej tylko „empirycznym stwierdzaniem faktów i odnajdywaniem reguł rządzących procesami” [2, s. 48]. Nie mogąc stać się jej przedmiotem (gr. *problema*), może — jako rzecz dająca do myślenia (gr. *pragma*; łac. *res*) — stawać się źródłem namysłu nad „możliwościami duszy”. „Rozjaśnianie egzystencji”, wedle sformułowania Jaspersa, jest takim „projektem możliwości duszy, ukazującym człowiekowi jak w zwierciadle, kim może być, co może mu się udać i dokąd może dotrzeć” [2, s. 48]. Jej wynikiem nie jest wyjaśnienie rzeczywistości będącej źródłem oglądu (niem. *die Er-klärung*), ale jej rozświetlenie perspektywą tego, kto ją rozważa (niem. *die Aufklärung*). Z tej przyczyny wynik dociekań jest nieuchronnie stronniczy: badanie tego, co wyjątkowe, staje się drogą (gr. *methodos*) samorozjaśniania; ową egzystencjalną komunikacją, o której pisał Jaspers, że jest „rozjaśnianiem we wzajemności, które w swym jądrze pozostaje dziejowe [i] nie polega na zastosowaniu ogólnej wiedzy do jakiegoś szczególnego wypadku” [2, s. 401].

Intencją naszego pisania jest egzystencjalna komunikacja. Jej stawką jest prawda egzystencji, której nie wolno zredukować do naukowej trafności. Jako możliwa, staje się zobowiązaniem, bez którego wszelkim międzyludzkim relacjom, także tym zawiązującym się w czasie psychoterapii, grozi nihilizm lub nieodpowiedzialne marzycielstwo [2, s. 386]. „Myślenie mimo” prawdy egzystencji, „zewnątrzne” i „nieobrazowe”, jedynie schema-

¹ Por. artykuł Doroty Plucińskiej o fragmencie jako formie literackiej [4].

tyczne [6, s. 9] „trywializuje” i „niweluje duszę” [2, s. 420]. Alternatywą jest współmyślenie — tu za Jaspersem nazywane egzystencjalną komunikacją. Pozwólmy zatem, „by oddziaływały na nas fakty, na tyle, na ile potrafimy je dostrzec” [6, s. 9].

2. Żałoba — brana za słowo albo nabierana na słowo

7 grudnia 1977

(Proste) słowa Śmierci: — „To niemożliwe!”

— „Dlaczego, dlaczego?”

— „Na zawsze”

etc.

[7, s. 91]

Matka Rolanda Barthesa umiera 25 października 1977 roku. Nazajutrz syn skreśli (*sic!*) kilka słów: „Pierwsza noc poślubna. Ale pierwsza noc żałobna?” (26 października 1977) [7, s. 15]. Po nich nastąpią kolejne: spisane na osobnych kartkach, dzielonych na cztery, jego ręką, piórem, ołówkiem, czym popadnie. Śmierć w jednej chwili przestaje być „wiedzą *zapożyczoną* (fałszywą, pochodzącą od innych, z filozofii etc.)” (1 maja 1978) [7, s. 132]; staje się czyjaś: jej, jego, moja. Przerwane nagle życie, ciszą odzywa się w drugim. Ta uwidacznia stratę. By ją znieść, ten, kto stracił zaczyna się żalić. Żal jest echem utraty i jako taki nie mieści się w śladach, jakie zostawia; rozchodzi się poza nimi (Barthes napisze, że żałoba jest „rozsiana — jak w stwardnieniu” (1 listopada 1977) [7, s. 40], nawet gdy ślady są wymowne; czarno-na-białym, jak te zostawione przez syna innej matki: „Matka umarła o 10.20 rano. *Carcinoma ventriculi* [...]. Jutro pogrzeb [...]. Wczoraj o godzinie szesnastej pochowaliśmy matkę. Wczoraj rozjechali się ludzie, którzy byli na pogrzebie [...]. Zostanę sam. Oddałem ziemi moje kochanie. Moje dobre cierpiące dziecko — moją duszę” [8, s. 106]. — Osieroceni bez względu na wiek, płęć i przyczynę, zaczynają żałobę po matce, „od której wszystko się zaczyna, nawet śmierć”.

pamiętam — był
październik i świeciło słońce
dzień wcześniej w nocy
umarła moja matka
widziałam słońce i niebo
nie było zamglone

[1, s. 264]

Barthesowskie jeremiady wytyczane są przez milczenie (jej), mówienie (bez niej) i mówienie (sobie), a także pisanie (dlaczego). Wsluchując się w ich nieregularny rytm, chaotyczny, jak sam zauważy, spróbujemy usłyszeć kryjącą się przed (*sic!*) nami rzeczywistość; niemą rzeczywistość śmierci matki, która przychodzi².

² Dopowiedzmy, że śmierć jako fakt jest słowem z porządku widzialnego, utrata natomiast jest już imieniem porządku niewidzialnego; znaczącego nie wiadomo, co i jak.

Nasz zamiar, choć realizuje go słowo pisane, sięga poza nie. To, co tu wysłowione, jest ledwie śladem tego, co też jest, ale bezgłośnie. Śmierć matki, jak wszystko, co pozbawione języka, łatwo trafia na języki. Żałoba po niej, nie traktowana z powagą, na jaką zasługują śmiertelni, nabierana bywa na słowo, które ją trywializuje, wpisując w ciasny gorset tzw. normy i patologii. „Irytacja. Nie, żałoba (depresja) jest czymś zupełnie innym niż choroba. Z czego miałbym się wyleczyć? By przejść do jakiego stanu, jakiego życia? Jeśli jest tu jakaś praca, to chyba tylko taka, że ten, kto się odradza, nie jest bytem *przeciętnym*, lecz *moralnym*, podmiotem *wartości*, a nie integracji” (27 października 1977) [7, s. 20]. Trywializacja, do której dochodzi (także) za sprawą języka („Miara żałoby (Larousse, Memento): osiemnaście miesięcy na żałobę po ojcu, matce” (29 października 1977) [7, s. 31]), odbiera życiu wszelkie życie, a śmierci każdą śmierć³.

Spróbujmy żałobę brać za słowo, pamiętając, że jest poza wszelkim śladem, jaki zostawia. Stwierdźmy więc na początku tylko to, co niewątpliwe: rzeczywistość tego, kto się żali na odejście matki, jest. Owo „jest”, co wiemy, odebrawszy lekcję filozofii egzystencji Martina Heideggera, nie redukuje się do prostego stwierdzenia, że coś jest (niem.: *es ist*), które dochodzi do głosu w pamiętnym: *Aujourd'hui, maman est morte*⁴. Odczytane jako „to, co daje” (niem.: *es gibt*) otwiera się przed nami jako coś dające⁵. Żałoba, skoro jest, daje. Co daje? Komu daje? A jeśli daje słowo, jak żałoba Rolanda Barthesa dochodząca do głosu w dzienniku, to czy obiecuje, że nie opuści, aż przyjdzie pora?

3. Śmierć jest. Co to znaczy?

18 lipca 1978

Każdemu jego własny rytm zgryzoty

[7, s. 176]

Z lektury „Żałoby i melancholii” Zygmunta Freuda wiemy, że żałoba jest ustosunkowaniem się danej osoby do utraty ukochanego obiektu i choć źródła trudności w przeżyciu tej utraty nie są ani jasne, ani pewne, to analityk powie, że trzeba czasu, by ów proces żałowania zakończyć [12, s. 147–149]. Czy jednak nie jest to złudzenie, które czasem tylko pozwala żyć? Czyż żałoba nie wraca falując, za nic mając naszą chęć jej zniesienia? Czy można zasadnie mówić o żałobie nieprzeżytej i co miałoby to znaczyć? Lub o żałobie przedłużającej się? Czy jest żałoba nie na miejscu i czy może być nie na czasie? Za długa lub za krótka? Głęboka lub płytka; powierzchowna, choć intensywna? „Wszyscy oceniają — czuję to — poziom intensywności żałoby. Nie można jednak zmierzyć (zwodnicze, sprzeczne oznaki), w jaki sposób zostaje on osiągnięty” (27 października 1977) [7, s. 22]. Więc — powtórzmy pytanie, które wydaje się kluczowe — czy żałoba może być zakończona lub niezakończona, jak zdarza się mówić wtedy, gdy próbujemy wysłowić cudze doświadczenie? Czy przebiega w czasie, który można podzielić na fazy, aż w końcu (to znaczy gdzie?) znika?

³ Por. fragment „Ferdynand” Witolda Gombrowicza poświęcony mentalności trywializującej [9, s. 10].

⁴ Por. Camus A., *L'Étranger* [10, s. 9].

⁵ Por. Heidegger M., *Ku rzeczy myślenia* [11, s. 9].

Śmierć matki daje o sobie znać w pustym miejscu, które dotąd zajmowała. Patrząc na nie od strony podmiotu, który, dostrzegając jej brak, żali się, można pytać, co czyni wobec tej pustki niedającej się wypełnić światem, który wraz z nią odszedł: jeśli milczy, to co?; jeśli mówi, to do kogo?; jeśli pisze, to jak i co i po co? Patrząc na puste miejsce od strony nieobecnej, można zapytać: co nieobecność daje. Bo skoro jest (*es ist*), musi też dawać (*es gibt*). Poniższe fragmenty będą próbą spojrzenia w obie strony. W punkcie wyjścia naszego pisania stwierdziłyśmy brak: *Aujourd'hui, maman est morte*. Droga pisma zapełni się śladami matki, która jest (*es gibt*) w miejscu, gdzie jej nie ma.

4. Milczenie jej

29 października 1977

To dziwne, jej głosu, który znalazłem tak dobrze, głosu, o którym mówi się, że jest ziarnem wspomnienia („droga intonacja...”), już nie słyszę. Niby miejscowa głuchota...

[7, s. 26]

Cisza zapadająca po śmierci matki jest definitywna. Próżno nasłuchiwać jej głosu, zostaje ledwie kilka fotografii (zawsze zbyt mało), upamiętniających minione. Milczenie matki związane jest z brakiem, który (zaprzeczając sobie?) szuka dróg wyrazu. Mówiąc językiem psychoanalizy, powiedzieć by można, że podmiot doświadczający braku, podmiot frustracji i zranienia, może „posłużyć się myśleniem” (jeśli może) — stanowiącym formę działania eksperymentalnego — by „opracować nieobecność” i w ten sposób ją znieść⁶. Posłuchajmy: „Siedzę sam w pokoju” — pisał Różewicz dzień po pogrzebie matki. „Jest cicho. Rozmawiam i zawsze będę rozmawiał z Tobą Mamo. Będę z Tobą rozmawiał tak, jakbyś była przy mnie” [8, s. 106]. Nieobecna, za sprawą tego, który ją przeżywa (czy tylko za jego sprawą?) staje się „obecnością nieobecnej” (28 listopada 1977) [7, s. 81]. Kimś, z kim rozmawia tak, jakby była przy nim. Kimś, komu daje słowo, że będzie zawsze z nią rozmawiał. Kogo prosi jeszcze o czas: „Ja wiem, że powinienem brać się do roboty, że czas leci. Ucieka. Ale jeszcze chwilę. Jeszcze trochę z Tobą porozmawiam” [8, s. 108]. Był rok 1957, gdy syn prosił matkę o czas. Czterdzieści dwa lata później wciąż rozmawiał z tą, „której oczy spoczywały na nim”. „Te oczy, uważne i czułe pytają milcząc >co cię martwi synku...?<. Odpowiadam z uśmiechem >nic... wszystko w porządku, naprawdę, Mamo<, >no, powiedz — mówi Matka — co cię trapi?<. Odwracam głowę, patrzę przez okno...” [8, s. 7]. Skończone i nieskończone w jednej chwili?

5. Mówienie bez niej

Skoro zaczynam mówić, wyrażam to, co ogólne,
a kiedy milczę, nikt mnie nie może pojąć

[14, s. 63]

⁶ Por. publikacja Marty Szpak: *Rozwój symbolizacji. Wybrane perspektywy psychoanalityczne* [13, s. 22–23].

Dzień po śmierci matki — powtórzmy raz jeszcze — Roland Barthes rozpoczyna sporządzanie krótkich notatek. Przez pierwsze miesiące zapisuje kilka fiszek dziennie. Zapiski dotyczą głównie jego samego. O matce niewiele, tyle, co nic — można by pomyśleć. A jednak, odczytywane po latach (w międzyczasie zmarł ten, który pisał), zauważamy przynajmniej dwa milczenia nierozzerwalnie ze sobą splecione: wspomniane wyżej milczenie matki i milczenie syna, milczenie syna o matce, przerywane raz po raz wspomnieniami, inicjowanymi przez świat zewnętrzny. „U cukiernika (błahostka) kupuję ciastko migdałowe. Obsługując klientkę, mała kelnerka mówi *Voilà*. Używałem tego słówka, przynosząc coś mamie, kiedy się nią opiekowałem. Pewnego razu, pod koniec, półprzytomna, powtórzyła to *Voilà* niczym echo (*je suis là*), słowo, które mówiliśmy sobie przez całe życie. To słowo wypowiedziane przez kelnerkę sprawia, że do oczu napływają mi łzy. Płaczę długo (powróciwszy do pustego mieszkania)” (5 listopada 1977) [7, s. 49]. Milczenie syna po śmierci matki jest znaczące, domaga się dopatrzenia, wysłuchania, zauważenia. Jako wymowne, stanowi *wymowę* braku — braku głosu matki. Lecz czy tylko?

Milczenie osieroconego może być skargą skierowaną przed siebie, w ciemno; na oślepie, „bo kiedy matka odwróci oczy od swego dziecka, dziecko zaczyna błądzić i ginie w świecie pozbawionym miłości i ciepła” [8, s. 7]. „Dziś — w dniu moich urodzin — jestem chory i nie mogę — nie mam już szansy jej o tym powiedzieć” (12 listopada 1977) [7, s. 58]. Coraz mniej do powiedzenia, „jeśli nie o tym (ale nie mogę tego nikomu powiedzieć)” (9 listopada 1977) [7, s. 52]. Milczenie i tym razem wyrazi nieobecność. A skoro *ja* wyrazi, to *ona* przemówi? Byłoby ono, milczenie dziecka po śmierci matki, dyktowane nadzieją powrotu do czasu, który płynął jej głosem? Intencjonalnym, co nie znaczy świadomym, poszukiwaniem „straconego czasu”, który nie znał jeszcze podziału na „było” i „będzie”, na jej czas i jego, na ty i nie ja, ja więc nie ty? Osierocony milczy, bo spragniony jest głosu, który go wypełni, jak wtedy? A gdy nie nadchodzi, reaguje, jak dawniej „pewnego rodzaju trawienną nadwrażliwością”: — „jakbym został trafiony w miejscu, o które się najbardziej troszczyła: posiłki (choć przecież już od miesiący mi ich nie przygotowywała)” (21 listopada 1977) [7, s. 73]. Pod ciężarem braku język „staje w gardle” i wprawia ciało w ruch; ono zaś wierci się „ni tu, ni tam”⁷, nie wiedząc dokąd i co. Czy kiedykolwiek?

Lub dziecko po śmierci matki milczy, bo ona też milczy i w tym milczeniu znów są jedno? Milcząc, mówi nią? „Pierwsza niedziela bez Matki. Próbowałem coś robić. Ale nie mogę. Pada deszcz. Jest przedpołudnie ciemne, puste. Moje przemysłowe miasto. Mogę iść na dworzec obejrzeć rozkład pociągów, mogę przejść się koło >delikatesów<, koło trzech, czterech kościołów, mogę popatrzeć na pijaków i motocyklistów, na...” [8, s. 107].

A może milczy, bo nie pragnie mówić? „Pragnienia, jakie miałem, zanim umarła (podczas jej choroby), nie mogą się już spełnić, znaczyłoby to bowiem, że to jej śmierć pozwala mi na ich spełnienie — że jej śmierć mogłaby być, w jakimś sensie, wyzwolicielska dla moich pragnień. Jednakże jej śmierć mnie zraniła, nie pragnę już tego, czego pragnąłem. Trzeba czekać — przypuścimy, że to się zdarzy — aż ukształtuje się nowe pragnienie,

⁷ Por. Kronhold, Skok w dal [15, s. 18].

pragnienie pośmiertne” (29 października 1977) [7, s. 30]. „Przypuśćmy” — zwróćmy uwagę na słowo, w którym do głosu dochodzi możliwość (niemożliwość?) pośmiertnego pragnienia — więc, przypuśćmy, że przyjdzie czas („trzeba czekać”), by z milczenia jej i mówienia bez niej narodziło się słowo pośmiertne. Słowo pośmiertne? Takie, któremu daruje się śmierć; któremu daruje śmierć? A więc też takie, któremu śmierć daje słowo, niechby było gorzkie, jak te przepisane tu nie bez wahania:

ponieważ odchodzisz
zostajesz na zawsze
nieprzeżyte
do końca
wszystko
moje

[1, s. 396]

„Okolo 18: mieszkanie jest ciepłe, miłe, jasne, czyste. Czynię je takim, energicznie, z oddaniem (rozkoszuję się tym z *goryczą*): odtąd i na zawsze sam jestem moją własną matką” (4 listopada 1977) [7, s. 48].

6. Mówienie sobie

1 sierpnia 1978

Moja zgryzota jest *niewysłowiona*,
jednakże *wypowiadalna*

[7, s. 189]

Niewysłowiona i choć bezbrzeżna, to jednak możliwa do wypowiedzenia. Lecz ku komu kierować lament, skoro matki już nie ma, a obecność innych staje się nieznośna? 27 października 1977 Barthes zanotuje: „Wszyscy oceniają — czują to — poziom intensywności żałoby. Nie można jednak zmierzyć (zwodnicze, sprzeczne oznaki), w jaki sposób zostaje on osiągnięty”. [7, s. 22]. Za kilka dni to samo, choć inaczej: „Ludzie wierzą, że cierpię mniej, niż mogliby przypuszczać”, tymczasem żałoby, jego własnej, nie ma „bezpośrednio ani w samotności, ani w świecie empirycznym. Żałoba jest tam, gdzie następuje rozdarcie miłosnej relacji, tego >kochaliśmy się<. Punkt najbardziej palący w punkcie najbardziej abstrakcyjnym” (5 listopada 1977) [7, s. 49]. Czy można uwierzyć w to, czego w świecie empirycznym nie ma, jeśli samemu się nie umarło, żyjąc? „Życzą mi >odwagi<” — zanotuje 10 listopada 1977. „Ale czas odwagi był wtedy, kiedy ona była chora, kiedy się nią opiekowałem, widząc jej cierpienie, jej smutki, i kiedy musiałem ukrywać mój płacz. W każdej chwili trzeba było podejmować decyzję, wytrwać, i to jest właśnie odwaga. — Teraz *odwaga* oznaczałaby *wolę życia* i tej ma się aż nadto” [7, s. 53]. Mówi sobie, bo drugi i tak nie usłyszy, co mówi i kto? Bo nie zrozumie, że dla pozostającego w żałobie pragnienie życia jest chorobą? Nie rozpacz, ale wola życia, której jest „aż nadto”? „Jakaś część mnie czuwa w rozpacz; a jednocześnie jakaś inna zajmuje się w myślach porządkowaniem moich najbardziej błahych spraw. Odczuwam to jako chorobę” (31 października 1977)

[7, s. 37]. Mówi sobie, bo drugi nie zrozumie, że żałoba, ta rzeczywista, nie zapożyczona, nie jest czymś, „co się przechodzi”, zostawiając za sobą; że nie jest czymś, co „dojrzeje to znaczy, że czas sprawi, iż żałoba opadnie jak owoc lub pęknie jak wrzód” (16 czerwca 1978) [7, s. 162]?; że nie jest czymś, co „poddaje się zużyciu”, a więc i użyciu, wykorzystaniu, manipulacji, perswazji itp.?

To, co umarło, nie przechodzi. „*Chwile* (strapienia/ miłości życia) tak świeże dziś, jak za pierwszych dni” (29 listopada 1977) [7, s. 84]. Powiedzieć o kimś, że nie zakończył żałoby, lub — co jeszcze bardziej zuchwałe, że nie chce jej zakończyć, bo przeraża go możliwość dnia, w którym „wspomnienie słów, jakie do mnie wypowiadała, nie wywoła już płaczu...” (19 listopada 1977) [7, s. 69] Więc pomyśleć tak, coś dopiero powiedzieć, to zamknąć usta temu, kto wciąż mówi? „Mamo” — po dwudziestu latach wciąż rozmawiają ze sobą. — „Mamo poznajesz mnie... uśmiech na malutkiej wyniszczonej twarzy skóra przeźroczysta włosy na głowie siwe — tak przecież to synku/ to ja Mamo proszę Cię jedz czerwony barszczyk może przelkniesz jeszcze kilka łyżeczek — /usta zamknięte a czerwony pożywny barszczyk wycieka bokiem plami brodę wycieram buzię/ zmaląłą buzię chusteczką i znów łyżeczkę podnoszę do jej zamkniętych ust Mama siedzi na łóżku podparte poduszkami plecy... przez okno widać dzikie wino światło przez liście przezroczyste Mama chce wyglądać przez okno za oknem czerwone mury magazynów piekarni wojskowej” [8, s. 110].

Więc, „nie mówić *żałoba* (*Deuil*). To zbyt psychoanalityczne. Nie jestem w *żałobie*. Mam strapienie (*J'ai du chagrin*)” (30 listopada 1977) [7, s. 85]. Strapienie — napisze Barthes w innym miejscu — „opiera się ogólnie przyjętej idei — także psychoanalitycznej — o żałobie zależnej od czasu, dialektyzującej się, zużywającej, >ujmującej się w karby<. Strapienie niczego nagle nie pozbawiło — ale też się nie zużywa” (29 listopada 1977) [7, s. 83]. Nie jest też czymś, co można zdefiniować, odwołując się do zespołu zjawisk, występujących zawsze, lub z reguły, jak wynika z obliczeń statystycznych. „Nie jesteś zadowolony ze swego życia? — Ależ skąd, z moim >życiem< wszystko w porządku, nie czuję żadnego braku na poziomie zjawisk; ale przy braku zakłóceń z zewnątrz, >incydentów<, występuje brak absolutny: ściśle biorąc, nie jest to żałoba, lecz czysta *zgrzyzota* (*le chagrin pur*) — bez substytutów, poza symbolizacją” (13 czerwca 1978) [7, s. 158]. Zgrzyzota, strapienie, zredukowane do wielu zjawisk, opisywanych jako proces żałoby, o którym nie-strapieni (jeszcze nie?) ważą się myśleć, że wiedzą „na czym polega”, pogłębia niechęć do mówienia, niemożność mówienia bliską śmierci. „Nie mogę znieść, że poddaje się je *redukcji* — że się je uogólnia [...]: bo to tak, jakby się mnie żeń okradało” (29 listopada 1977) [7, s. 83]. „Cierpię z tego powodu” [7, s. 83].

Śmierć matki jest swoistą lekcją ciemności. Barthes pod datą 15 listopada 1977 zapisuje: „Jest czas, kiedy śmierć jest *wydarzeniem*, przygodą i z tego tytułu mobilizuje, interesuje, wciąga, aktywizuje, poraża. A później, pewnego dnia, przestaje być wydarzeniem, jest trwaniem w jakiś inny sposób, zagęszczonym, pozbawionym znaczenia, niedającym się opowiedzieć, posępnym, bez wyjścia: żałoba prawdziwa, nie do uzgodnienia z żadną narracyjną dialektyką” (15 listopada 1977) [7, s. 62]. Jej śmierć (czy śmierć każdego, z którym dzieliło się życie?) może być przeżywana jako zwiastun własnej śmierci; coś nie do pomyślenia do tej pory, staje się do pomyślenia, a przecież nie tylko do pomyślenia, skoro poza tym, co będzie, już jest. „Mój umysł budzi się z ociężałego snu deszcz pada

na nas na powierzchni na ziemi zapach lasu życia/ a u ciebie pod ziemią? Wchodzisz głębiej/ tu na ziemi słucham muzyki i mój mózg przez oczy i ręce przekazuje literom kształt mojej myśli/ od rana jestem miotany/ miotam się po powierzchni jak słomka/ daj mi łaskę wewnętrznego skupienia i pozwól mi widzieć. Minęły lata Ty mnie trzymasz za ręce za nogi ty mnie ciągniesz do ziemi zapałem się ciebie Kur pieje, kiedy się budzę” [8, s. 111]. — „Prawda żałoby jest całkiem prosta” — 28 maja 1978 napisze Barthes — „Teraz, gdy mama nie żyje, jestem przyparty do śmierci (nie oddziela mnie już od niej nic oprócz czasu)” [7, s. 143].

Tego, że życie opiera się śmierci („Ty mnie trzymasz za ręce za nogi ty mnie ciągniesz do ziemi zapałem się ciebie”) — nie mogą wiedzieć ci, którzy wiedzą o jednym i drugim czerpią z drugiej ręki. W tym sensie jest to wiedza intymna, do której się dochodzi tylko poprzez śmierć. Czy można dziwić się temu, że się od niej odwraca, póki można? A także temu, że gdy już przychodzi, ten, który jej doświadcza, odwraca się od tych, którzy jeszcze nic nie wiedzą? „Teraz wszędzie, na ulicy, w kawiarni, nieuchronnie widzę ludzi w stanie *przedśmiertnym*, to znaczy w ścisłym sensie jako *śmiertelników*. — I z nie mniejszą oczywistością widzę ich jako *niezdających sobie z tego sprawy*” (16 listopada 1977) [7, s. 64]. Odważmy się zapytać: którzy z nich są pełnijsi życia? Ci, którzy przeżywając własną śmierć mówią sobie, że śmierć jest i daje („jestem przyparty do śmierci”, „daj mi łaskę wewnętrznego skupienia i pozwól mi widzieć”), czy ci, którzy nic o niej jeszcze nie wiedzą, myśląc, że skoro jest, to nic nie ma?

7. Pisanie. Dlaczego?

22 grudnia 1977

Nieopisywalność mojej żałoby pochodzi z tego, czego nie historyzują: ciągle niedomaganie, bardzo szczególnie

[7, s. 96]

W jednym ze swoich tekstów Roland Barthes wyróżnia straty, jakich doznaje mowa wskutek zapisania — jedną z nich jest zaniknięcie funkcji fatycznej objawiające się brakiem słów, takich jak: „czyż nie?” [16, s. 41]⁸. Wśród „zysków” pisma — wprowadzających ład — wymienione są: nawias (umożliwiający obserwację ruchu myśli) oraz interpunkcja (dzieląca sens) [por. 16, s. 42]. Można wyobrazić sobie, że pisanie porządkuje doświadczenia, których chaotyczny bieg trudny jest do zniesienia inaczej. Bolesny jest ów moment źródłowy pisma, skoro można go upatrywać w próbie osławiania na zmianę chaosu lub pustki, przeżywanych jako brak znaczenia — „brak znaczenia to miejsce prawdziwego znaczenia. Nigdy nie wolno o tym zapominać” [16, s. 14]. Ma jednak pismo w sobie coś z fotografii upamiętniającej to, czego już nie ma; dokumentującej ruch myśli. W obliczu śmierci matki słowo pisane jest potwierdzeniem i upamiętnianiem utraty. Zarazem jej zapominaniem, bo gdy brakowało słów — nie pisał lub pisał coraz mniej — jego stra-

⁸ O owych fragmentach: „czyż nie?” Roland Barthes pisze, że są niczym trele, „poprzez które jedno ciało szuka drugiego. I właśnie ów trel — niezgrabny, płaski, śmieszny, kiedy zostanie zapisany — gaśnie w piśmie” [16, s. 41].

pienie „dostało rangi wieczności” (4 grudnia 1978) [7, s. 228]. Paradoksalnie więc to brak słów na wypełnienie braku upamiętnia tę, która już nie mówi; na wieczną zgryzotę, sprzeciwiającą się chorobie życia, jakby jej nie było.

A jednak czasem pisał. Mimo strachu przed redukcją doświadczenia do przedmiotu wiedzy i tego jeszcze innego, z którym się liczył, strachu przed „uprawieniem literatury”, wobec którego mógł czuć się bezradnym, bo jeśli nie on, to ktoś inny zrobi z tego, co żywe, bo umarło, literaturę. Dlaczego więc pisał, skoro wiedział, że milczenie pełniej niż słowo upamiętni obecność nieobecnej? Gwoli pamięci? Przecież nie mógł zapomnieć, zwłaszcza wtedy, gdy nie pisał. „Pisać — nie po to, aby *samemu* pamiętać, ale po to, by walczyć z rozdarciem zapomnienia *anonsującego się jako absolutne*. Z tym — już wkrótce — >brakiem śladu<, nigdzie w nikim” (około 12 kwietnia 1978) [7, s. 127]. Pisanie jako gest skierowany ku temu, co przemija. Zostawianie śladów, które jak zamki budowane na ruchomych piaskach znikają z oczu, zanim zgaśnie światło. Pisanie na czas, na zapomnienie tego, co poza tym jest wieczne? I zarazem samotne, bo niemożliwe do zbratania się z tym, co przemija; co na powitanie powie: *Voilà*, a na odejście: „źle, źle siedzisz” (25 listopada 1977) [7, s. 78].

A może pisanie po śmierci matki wcale nie chodzi o gest wymierzony w przyszłość, która go zniesie, zastępując. Może pisanie to stwarzanie (iluzoryczne, a jednak) przestrzeni, która mówiąc: „*Voilà*”, „źle, źle siedzisz”, „włóż coś kolorowego” będzie zawsze?

8. Darowane?

20 lipca 1978

Żałoba

Niemożliwe — niegodne — powierzyć narkotykowi — pod pretekstem depresji — zgryzotę, jakby to była jakaś choroba, „nawiedzenie” — alienacja (coś, co czyni cię obcym) — podczas gdy jest ona dobrem podstawowym, intymnym...

[7, s. 177]

Uważność wobec rzeczywistości, także tej odsłaniającej się przed nami z chwilą śmierci matki, powstrzymuje przed pochopnym narzucaniem jej „niesprawdzonych przedstawień”, takich jak te: żałoba zakończona, niezakończona, przedwcześnie zamknięta, nieprzeżyta. Bo co one mówią? Że na żałobę przychodzi czas, jak na wszystko, że czas, który przychodzi, jest w porę lub nie w porę, przedwczesny (zawsze będzie za wcześniej lub za późno?), że jest zbyt długi lub zbyt krótki. Bo co one robią i po co? Redukują żałobę do zjawiska, nabierając na słowa, które rzekomo ją pojmują: opisują, przewidują i znoszą. Patrząc na żałobę z perspektywy zwodniczych mniemań (zapożyczonych, jak pisał o nich Barthes i fałszywych) zwracamy uwagę na to, co w rzeczywistości jest widzialne (*es ist*) i, w związku z tym, mierzalne: dłuższe lub krótsze, intensywne lub już nie. Jednak śmierć i ten, kto ją przeżywa, nie mogą być zredukowani do tego, co jest i każdy widzi, jakie. To, co widzialne, pozostaje jedynie śladem tego, czego nie widać, choć też jest, bo daje to, lub tamto, zależy komu, kiedy i gdzie (*es gibt*). Na pytanie więc: co daje (*was gibt es?*) nie można odpowiedzieć inaczej, jak doświadczając danego na sobie. Zobaczyć

w śmierci, także śmierci matki, możliwość daru, to wypowiedzieć się przeciwko temu, co mierzalne i widzialne, i co zarazem „anonsuje się jako absolutne”; wiedzące nie tylko to, co jest i jakie, ale także, jakie być powinno, bo jeśli jest inne, to jest chore, zaburzone, wymagające terapii.

Pytać o śmierć matki od strony tego, kto ją przeżywa, to zwracać się w stronę, z której nic nie widać, nic nie słychać, ale coś tam jest, skoro daje, słowo daje, obiecuje, że nie opuści, że będzie zawsze, choć umarło. Niewidzialne dające, w którym można zamieszkać; które może zamieszkać w tym, kto śmierć bierze za słowo, wiedząc, że go nie opuści, aż przyjdzie pora. Czy tylko od tej strony patrząc, można zrozumieć tych, którzy „zamieszkują[c] w swej zgryzocie” (31 lipca 1978) [7, s. 188], za przejaw choroby mają życie, jakby jej nie było? Którzy nie przerywają rozmowy z nieobecną obecną, próbując „kontynuować codzienne życie podług jej wartości”, jak czynił to Barthes i czego świadectwo zostawił pisząc: „Natrafiając na jakiś rodzaj pożywienia, które przygotowywała, przyrządzam je sam, utrzymuję jej ład domowy, owo dopełnienie etyki i estetyki, które stanowiło z niczym nieporównywalny sposób jej życia, stwarzania codzienności. Ta >osobliwość< praktycznej gospodarności nie jest więc możliwa w podróży — jest możliwa tylko w domu. Podróżować, to znaczy odseparować się od niej — teraz jeszcze o tyle bardziej, że już jej nie ma — że jest już tylko najintymniejszą częścią codzienności” (18 sierpnia 1978) [7, s. 205]. Więc, tylko tak patrząc od stron, by tak rzec, ciemności, można zrozumieć tych, którzy nie potrafią wyrzucić jej książek, nawet jeśli okazały się „zapisem naszych czytelniczych porażek”, zwłaszcza że się okazały? „A teraz nie żyje. Siedzę w jej mieszkaniu. Wszystko zniknęło. Zostały tylko książki” [17, s. 20]. Zrozumieć tych, którzy nie potrafią o niej nic powiedzieć, nie potrafią jej opisać i zamiast o niej, opowiadają nam o rzeczach, których nie wyrzucili? „Kiedyś sądziłem — mówi jeden z nich — że ludzi pamiętamy, dopóki możemy ich opisać. Teraz myślę, że jest odwrotnie: są z nami, dopóki nie umiemy tego zrobić. Dopiero martwych ludzi mamy na własność, zredukowanych do jakiegoś obrazka czy kilku zdań. Postaci w tle. Teraz już wiadomo — byli tacy lub śmacy. Teraz możemy podsumować całą tę szarpaninę. Rozplątać niekonsekwencje. Postawić kropkę. Wpisać wynik. Ale jeszcze nie wszystko pamiętam. Dopóki nie mogę ich opisać, jeszcze trochę żyją” [17, s. 5]. Tylko patrząc od strony ciemności zrozumiemy tego, kto po latach wielu od jej śmierci mówi nam (choć mógłby sobie):

Ja domek dla umarłych
znaleźli tu swoje
ostatnie schronienie
(...)
zostałem otwarty
i zamieszkali
w zimnym
pustym
ciemnym
taka jest
ich

światłość wiekuista
 takie grzechów odpuszczenie
 ciała zmartwychwstanie
 taki żywot wieczny

[8, s. 56]

„Uderzony *niepojętą* naturą nieobecności” — pisał sobie Barthes, by po średniku dodać: „a przecież pali ona i rozdziera”. Czy tylko tak, będąc uderzonym niepojętą naturą nieobecności życia w śmierci i śmierci w życiu, można lepiej zrozumieć abstrakcję? „Jest [ona] nieobecnością i bólem, bólem nieobecności — a może więc miłością?” (10 listopada 1977) [7, s. 54].

PS

oczy mojej matki były niebieskie
 zapamiętałam oczy i mleko
 o smaku łez były oczy a
 mleko miało kolor niebieski
 moje sukienki nie odbijały się w
 oczach matki na niebiesko
 pomarszczone nie uroniły
 ani kropli mleka

[1, s. 10].

Piśmiennictwo

1. Opoczyńska M. *zanim. 2014–2017* (niepublikowane).
2. Jaspers K. *Filozofia egzystencji*. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy; 1990.
3. Schlegel F. *Fragmenty z „Athenäum”*. W: Kowalczykowska A., oprac. *Manifesty romantyzmu 1790–1830*. Warszawa: PWN; 1975, s. 141–149.
4. Plucińska M. *Poetycka filozofia i aksjologia fragmentu*. *Tekstualia: palimpsesty literackie, artystyczne, naukowe*. 2005, 2 (2) http://www.tekstualia.pl/images/ArchiwumNumerow/fragment_2_2_2005/Plucinska_Dorota-Poetycka_filozofia_i_aksjologia_fragmentu.pdf
5. Brückner A. *Słownik etymologiczny języka polskiego*. Warszawa: WP; 1985.
6. Jaspers K. *Strindberg i Van Gogh*. Warszawa: Wydawnictwo KR; 2006.
7. Barthes R. *Dziennik żałobny*. Wrocław: Teatr Polski we Wrocławiu; 2013.
8. Różewicz T. *Matka odchodzi*. Wrocław: Wydawnictwo Dolnośląskie; 1999.
9. Gombrowicz W. *Ferdydurke*. Kraków: Wydawnictwo Literackie; 1989.
10. Camus A. *L'Étranger*. Paris: Éditions Gallimard; 2017.
11. Heidegger M. *Ku rzeczy myślenia*. Warszawa: Fundacja Aletheia; 1999.

-
12. Freud Z. Żaloba i melancholia. W: Freud Z. Psychologia nieświadomości. Warszawa: Wydawnictwo KR, s. 147–159.
 13. Szpak M. Rozwój symbolizacji. Wybrane perspektywy psychoanalityczne. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego; 2014.
 14. Kierkegaard S. Bojaźń i drżenie. Choroba na śmierć. Warszawa: PWN; 1969.
 15. Kronhold J. Skok w dal. Kraków: Wydawnictwo Literackie; 2016.
 16. Barthes R. Ziarno głosu. Wywiady 1962–1980. Kraków: Éperons-Ostrogi; 2016.
 17. Wiecha M. Rzeczy, których nie wyrzuciłem. Kraków: Karakter; 2017.

Adres: upopoczy@cm-uj.edu.pl